

DOM, W KTÓRYM ZAGOŚCIŁO ZŁO

SARA
STRÖMBERG

PIĘTNO



BUKOWY LAS

Kiedy popołudnie spowijało Storlien płaszczem ciemności i chłodu, Arvida zawsze nawiedzała ta sama myśl. Czterdzieści lat krążyła mu po głowie, choć nigdy nie wypowiedział jej na głos. *Teraz to już nie my strzeżemy granicy, tylko ona pilnuje nas.*

Stali w kamizelkach odbłaskowych pośrodku drogi E14, groteskowo oświetleni reflektorami, podczas gdy zamieć biła w nich z całych sił. Arvid błędził wzrokiem w skrywającym wszystko mroku, po dwóch pasach jezdni pnących się łukiem ku górze, by zaraz potem gwałtownie opaść w kierunku Norwegii. Sękaty, karłowate brzozy i rozległe, surowe przestrzenie. W obliczu nadchodzącej nocy na przydrożnych parkingach kierowcy tirów szukali schronienia blisko siebie. Naprzeciwko, po drugiej stronie torów kolejowych, u podnóża bezleśnej góry, przycupnęła wioska.

Dobrze znał posterunek celny, ale o tej porze mrok spowijał też jego umysł. Nie mieli pewności, czy ktoś nie obserwuje ich z ukrycia, tylko czekając na właściwy moment, by przedostać się na drugą stronę. Garstka celników nie dawała rady upilnować czterystukilometrowej granicy, nic więc dziwnego, że człowiek czuł się czasem bezsilny.

– Chodzi o to, żeby pokazać, że tu jesteśmy – stwierdził Peter, gdy Arvid narzekał w kuchni na absurdalność tej misji.

Koledzy uśmiechali się do niego z pobłażaniem i współczuciem.

Arvid doskonale wiedział, co o nim myślał. Pewnego wieczoru, gdy niespodziewanie wrócił po portfel, który zostawił w szufladzie biurka, przypadkowo podsłuchał rozmowę Kerstin i Petera znajdujących się na piętrze:

– Arvid jest oderwany od rzeczywistości, żyje w swoim świecie. Kto wie, co z nim będzie po przejściu na emeryturę. Już i tak pracuje dłużej, niż powinien.

Arvid nie wziął portfela i pojechał do domu ze ściśniętym gardłem. Strasznie zaboląły go te słowa, które padły z ust jego najbliższych współpracowników. Od prawie trzydziestu lat mieszkańcy wioski szeptali za jego plecami. Że postradał zmysły, gdy znalazł zwłoki zięcia i wnucząt. Że jego córka Marit musiała zabić całą rodzinę i uciec, skoro nigdy jej nie odnaleziono. Jaką trzeba być matką, żeby zrobić coś takiego? Tylko potwór jest zdolny do takich rzeczy.

Najgorsze były chwile zwątpienia, które nachodziły go w samotności. Może to ci najokrutniejsi mają rację, a on się myli?

Zazwyczaj praca była dla niego kołem ratunkowym, lecz tego wieczoru czuł się wyjątkowo zmęczony i rozbity. Jakby stał na wiszącym moście, a czas pędził pod nim niczym rwąca rzeka. Ledwie czuł się częścią własnego życia.

Zbliżały się urodziny Marit. W poniedziałek skończyłaby czterdzieści dziewięć lat.

A może skończy?

Ciała jego córki nigdy nie odnaleziono. Jak oplakiwać kogoś, kogo nie można pochować?

Zaciągnął suwak kurtki aż pod samą brodę, ponieważ wiał ostry, przenikliwy wiatr i trzeba się było szczerlnie chronić od stóp do głów. Od czasu, gdy urząd celny zaostrzył kontrole przy granicy z Norwegią, częściej pracowali na zewnątrz i sprawdzali znacznie więcej pojazdów. Czas zająć się kryminalistami, którzy mają tu otwartą furtkę do kraju. Już w pierwszych tygodniach namierzyli narkotyki, alkohol oraz broń, jakby spod ziemi wypłynęła brudna, ciepła rzeka przestępczości.

Niektórzy wściekali się na nowe przepisy, nazywając je biurokratycznym piekłem. Właściciele domów letniskowych i pracownicy fizyczni, którzy dotąd bezproblemowo przekraczali

niestrzeżoną granicę z droгим sprzętem i skuterami, teraz musieli płacić cło.

Bardziej zdecydowane podejście – oto co teraz obowiązywało. Arvid coraz częściej myślał o nielogiczności granic państwowych. Dawniej nie było linii podziału pomiędzy Norwegią a Szwecją, mech i jałowiec się nią nie przejmowały. W przyrodzie wszystko tworzy jedną całość, a jednak ludzie zdecydowali inaczej.

Zapowiadała się długa zima. Pomimo monotonii Arvid i tak wolał być w środku, w ciepłej czerwonej budce i odprawić towary, niż pracować na zewnątrz. Kierowcy ciężarówek zachowywali się profesjonalnie, wiedzieli, czy mają ładunek do oclenia, i od razu wybierali czerwony pas, po czym wypełniali papiery, a on przystawiał pieczętkę. Potem spokojnie siadał przy oknie, pił kawę i obserwował. Od dwudziestu ośmiu lat obserwował, lecz auto, którego wypatrywał, nigdy się nie pojawiło.

Na mrozie, w bliskim kontakcie z ciemnymi stronami ludzkiej natury, bardziej odczuwał swoją wewnętrzną udrękę. W zeszłym tygodniu próbował zatrzymać zdesperowaną Norweżkę, która uciekając, o mało nie przejechała go Teslą. Musiał uskokczyć na bok. Gdy jego kumple w końcu ją zatrzymali, znaleźli w bagażniku pół kilograma białego proszku – amfetaminę ukrytą w buteleczkach po dziecięcym szamponie. W pamięci utkwiły mu jasnoróżowe etykiety. Ten niewinny kolor miał w sobie coś tragicznego. Psychiczny ból puchł w nim coraz bardziej, był niczym kula smutku, tęsknoty i rozpaczy, której nie potrafił z siebie wyrzucić. Nie mógł ani nie chciał skupić się na przyszłości, bo wtedy umarłaby pamięć o niej, a później zniknęłyby również wspomnienia o Franku, Feliksie i Julii.

Jednak wkrótce wszystko się skończy. Najpierw życie zawodowe, potem życie samo w sobie. Sześćdziesiąt dziewięć lat. Czas nieubłaganie ucieka.

Kątem oka zobaczył, jak Kerstin podnosi lornetkę, a od strony Norwegii nadjeżdża auto.

– W końcu jakiś samochód, ta noc wlecze się jak flaki z olejem... – wymamrotał Peter pod nosem, przewracając oczami. Kilkudniowy zarost, który uparcie nosił, sprawiał, że wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego. Nie chciało mu się golić czy nie miał cierpliwości do zapuszczenia brody?

Kerstin dała im znać, żeby się przemieścili do miejsca kontroli. Arvidowi od razu przyspieszył puls i poczuł ucisk kamizelki odblaskowej. Przesunął palcami po gazie pieprzowym, a następnie dotknął palki znajdującej się przy nodze.

Po chwili wjechało stare czarne Volvo, model 245. Kiedyś najpopularniejszy samochód w Szwecji. W czasach, gdy był szczęśliwy. Kiedy wszyscy, których kochał, wciąż żyli.

Kerstin uniosła rękę z ognistopomarańczową flarą sygnalizacyjną i zatrzymała pojazd. Złoty emblemat na jej służbowej czapce zalśnił w świetle reflektorów.

Kierowca się zatrzymał i opuścił szybę. Mężczyzna w średnim wieku, koszula z krótkim rękawem, brzuch opierający się na kierownicy. Miał już przygotowane prawo jazdy. Obok niego siedziała kobieta, a z tyłu dwoje dzieci, dziewczynka i chłopiec. Wyglądali, jakby wracali z ciepłych krajów. Policzki i włosy musnięte słońcem.

Byli na urlopie – pomyślał Arvid. Chodzili boso po piasku, jedli dania z grilla w gwarnych restauracjach. Szukali odrobiny ciepła w coraz chłodniejszym świecie. Może kobieta kupiła sobie w jakiejś wąskiej uliczce srebrne kolczyki, które teraz migotały w jej uszach.

Zwyczajna rodzina. Tylko czy na pewno?

– Dzień dobry – powiedział Arvid, pochylając się, by spojrzeć kierowcy w oczy, nie zaglądać do auta.

Zawsze miał z tyłu głowy, że może zostać zaatakowany. Gdzie się podzieli ci wszyscy nieszkodliwi piwosze? Ten gatunek musiał tymczasem wyginąć. Zamiast nich w społeczeństwie roilo się od nieobliczalnych osób z problemami psychicznymi, uzależnionych od przeróżnych substancji.

– Macie coś do oclenia?

– Nic mi o tym nie wiadomo... nie.

Mężczyzna rozejrzał się po wnętrzu auta, jakby miała tam gdzie leżeć sterta skradzionych rzeczy.

– Co oni robią, tato? Czy my jesteśmy złodziejami?

Głos dziewczynki dobiegł z tylnego siedzenia, zdjęła słuchawki i odłożyła iPada na rozkładany stolik przed sobą.

Ojciec się zaśmiał.

– Nie, Stello. Wszystko w porządku.

Arvid świadomie przybrał przyjazny wyraz twarzy. Mała przypominała mu Marit, kiedy ta była w jej wieku. Zresztą, wszystkie dziewczynki, niezależnie od etapu życia, przypominały mu Marit. Często myślał o delikatnych włoskach na jej dziecięcym karku i płakał w samotności nocami, kiedy ciższa stawała się nie do zniesienia. Dawniej miał jeszcze Karin, z którą mógł porozmawiać, ale teraz i żony już nie było. Po kolacji zazwyczaj włączał jakiś film, by dom wypełnił się życiem. Czasem przysypiał na kanapie i budził go głos, który wydawał mu się znajomy. Przez kilka ulotnych sekund wierzył, że to ktoś bliski, zanim dotarło do niego, że to tylko aktor. I za każdym razem bolało tak samo.

Arvid otworzył bagażnik i zajrzał do środka. Walizki, kilka toreb ze strefy bezcłowej, głównie słodczyce. Latarka omiotła wnętrze samochodu, dywaniki, kieszenie w drzwiach i inne zakamarki.

Wpuścili rodzinę, która właśnie wróciła z Gran Canarii. Mieli bezpośredni lot do Trondheim, a teraz musieli się jeszcze dostać do domu, do Östersundu. Pewnie już się stęsknili za zwyczajnym życiem i rutyną.

– No dobra – rzucił Peter. – Skoczę do toalety.

Kerstin zaczęła się rozgrzewać przez pocieranie ramion, patrząc w ciemne niebo.

– Ech, kto by nie chciał teraz uciec do ciepłych krajów. Podobno czeka nas załamanie pogody – powiedziała, krzywiąc się. – Jak się czujesz, będąc już na ostatniej prostej?

– Sam nie wiem – bąknął Arvid.

Nie chciał okazywać słabości. Koledzy z pracy i tak wykazywali przesadne zainteresowanie jego przyszłością.

– Wyobraź sobie, budzisz się za tydzień, nastawiasz wodę na kawę i... jeśli zechcesz, możesz wrócić do łóżka. Wiesz co? Marzy mi się emerytura, ale nie mów tego Peterowi – oznajmiła Kerstin i się zaśmiała.

Jej długi blond warkocz schował się pod kołnierzem kurtki. W tych pozornie krótkich włosach przypominała młodą Jamie Lee Curtis z *Rybki zwanej Wandą*. Przeczytał kiedyś w jakimś magazynie, którego nazwy już nie pamiętał, że aktorka miała trzydzieści lat, czyli tyle co Kerstin teraz, gdy tę komedię grano w kinach. To było arcydzieło. Widział ten film wielokrotnie i za każdym razem bawił go tak samo. Mimowolnie się uśmiechnął. Właściwie to lubił Kerstin i Petera. Może jednak nie chcieli mu zaszkodzić, tylko po prostu troszczyli się o niego.

– No tak – odezwał się w końcu. – Ale człowiek powinien mieć jakieś zajęcie.

– Krzyżówki, wycieczki z emerytami, długie spacerki... nie będziesz się nudził.

W tej chwili Arvid odruchowo się wyprostował, poprawiając mundur.

– Myślałem raczej o kontynuowaniu badania swojego drzewa genealogicznego.

Ponieważ odebrano mu przyszłość, zajął się przeszłością, odkrywając swoje korzenie, co dawało mu poczucie ciągłości i wieczności. Genealogia trzymała go przy życiu, lecz nawet ona zaczynała tracić sens. Znał nazwiska, daty narodzin i śmierci, ale nie znał ludzi. Potrzebował kogoś żywego, choćby jednej osoby. Dziś rano długo siedział na łóżku z koszulą na kolanach, zanim w końcu zdecydował się ją włożyć. Bo czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Co za różnica, czy się jeszcze kiedyś ubierze, czy też nie, skoro i tak nic się nie zmieni?

– Genealogia? Naprawdę się tym zajmujesz?

– Tak, od jakiegoś czasu. W końcu człowiek trafia na ko-
goś... ja...

Urwał, gdy tylko zobaczył jej minę i rozbiegany wzrok. Chole-
lera. Nie powinien był tego mówić. Zabrzmiał jak jakiś despe-
rat. Szaleniec Arvid Näslund.

Na szczęście nie musiał się tym długo martwić, bo właśnie
w tym momencie na wzniesieniu błysnęły światła i szybko nad-
jechał kolejny samochód.

– Komuś się najwyraźniej spieszy – zauważyła Kerstin i po-
machała do Petera, który wyszedł na ganek.

Arvid zmrużył oczy. Samochód jechał z dużą prędkością,
pewnie ze sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Nieświado-
my czy działa z premedytacją? Pojazd podskoczył na przejściu
dla pieszych i gwałtownie wyhamował. Kerstin podeszła do
auta od strony kierowcy. Basy dudniły tak, że aż drżały szyby.

Arvid przeszedł za samochód. Serce zaczęło mu walić, gdy do-
strzegł, że to czarne Volvo kombi. Na tylnej szybie miało naklejkę
z jakimś hasłem reklamowym napisanym niebieską czcionką.
Jedno słowo biło po go oczach, jakby założył okulary 3D.

„Bezpieczny”. To samo słowo co wtedy. Świadek nie zapa-
miętał całego zdania, tylko te dziesięć liter tworzących wyraz.

„Bezpieczny”.

– W tym konkretnym kontekście to słowo zadziało jak
cios w brzuch – stwierdził potem terapeuta, umieszczając oku-
lary do czytania na czole.

Pojechał na tę bezsensowną terapię tylko dwa razy. Łącznie
sto dwadzieścia kilometrów do Åre i z powrotem, by posiedzieć
na ergonomicznym fotelu zaprojektowanym przez Brunona
Mathssona. Stwierdził, że to bez sensu, bo smutek i tak go
zniszczy.

Ale teraz to się działo naprawdę. To był ten moment.
Wszystko się zgadzało. Myśli wybuchały w jego głowie, nie do
końca sformułowane, gdy próbował zawołać kolegów.

– On... To jest... wiem... morderca... porywacz...

Nikt go nie słyszał albo nikt nie słuchał.

Jak przez mgłę obserwował Kerstin i Petera działających zgodnie z procedurą. Mówili głośniejsze niż zwykle. Kierowca ubrany w bluzę z kapturem wyjaśnił im, szczerząc zęby, że może ściszyć hip-hop, ale nawiew musi chodzić, bo szyby parują. Arvid wychwycił, że facet ma na imię Dennis. Chciał zobaczyć jego twarz, marzył, by spojrzeć mu w oczy, ale daszek czapki zasłaniał rysy aż po nos, a on nie mógł czekać.

To był ten moment.

Arvid zadziałał błyskawicznie. Rzucił się do samochodu, otworzył drzwi i tak mocno pchnął mężczyznę, że ten upadł bokiem na fotel pasażera, a głową uderzył o klamkę. Facet krzyknął i spadła mu czapka, odsłaniając ulizane włosy wyglądające jak wysiedziana trawa. Arvid rzucił się na niego, przygniatając go swoimi stu pięcioma kilogramami. Wymierzył mu cios. Za plecami słyszał krzyki kolegów, ale nic sobie z nich nie robił.

– Przetrzymujesz gdzieś Marit? Nie myśl sobie, że się ciebie boję, zasrany śmieciu! Śniłem o tym prawie trzydzieści lat. Gdzie ona jest? – wycedził przez zęby.

Mężczyzna dyszał, patrząc na niego z przerażeniem. Jego oczy nie przypominały tych z wyobrażeń Arvida. Tamte miały kolor sadzy. Te były młodsze, jaśniejsze. Arvid chwycił mężczyznę za gardło i poczuł pod palcami jego puls.

– Gdzie ona jest?! – wrzasnął, plując.

– Arvid! To nie on! Słyszysz?! Wystarczy! Przestań!

Krzyki Petera i Kerstin były jak szum wody w uszach, ale poczuł, jak ich mocne ręce odciągają go do tyłu. Puścił gardło tego faceta i osunął się w śnieg za autem. Kerstin przykucnęła obok niego.

Z kabiny samochodu dobiegał kaszel.

– Dennis, prawda? Tak się przedstawiłeś? Możemy to wyjaśnić – powiedział Peter do mężczyzny. – Niech no to zobaczą... Chodź, widzę, że krwawisz. Damy ci plaster, herbatę, zaraz...

– Wyjaśnić?! Herbatę?! – wrzasnął Dennis, pociągając nosem. – Doniosę na was.

Oszołomiony Arvid próbował zrozumieć, o czym oni rozmawiają. Z tonu Petera wynikało, że to on zrobił coś złego. Nie Dennis. A przecież to ten człowiek był podejrzany o popełnienie przestępstwa, powinni go zatrzymać, wezwać policję. Chciał zaprotestować, lecz poczuł dłoń Kerstin na swoim ramieniu.

– Arvid, to nie on. Auto wygląda podobnie jak to, które widziano tamtej nocy, przynajmniej. Ale popatrz. Ten chłopak... jeszcze nawet nie było go na świecie, gdy...

WYDAWNICTWO BUKOWY LAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

TROFEUM TEGO ŁOWCY TO NIE ZWIERZYNA LEŚNA...

Trzy dekady temu górską wioską wstrząsnęła szokująca zbrodnia. Ojciec i dwoje dzieci zostali zamordowani w swoim domu, a matka zniknęła bez śladu. Tragedia ta – nazywana przez miejscowych rzezią w Storlien – wciąż pozostaje niewyjaśniona. Reporterka i zarazem śledcza Vera Bergström ma zbadać tę historię. Tropy prowadzą od myśliwskich domków na odludziu, przez zagrożone przedmieścia, do policyjnego rejestru DNA. Vera zaczyna podejrzewać przerażającą prawdę o tym, co wydarzyło się pamiętnej nocy 1995 roku. Nieuchwytny sprawca zmienia tylko teren łowów i wciąż jest groźny. W tym samym czasie, po przejściu burzy śnieżnej, w pobliskich górach zostaje odkryte makabryczne znalezisko...



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł